Lwów, 8. Lipca **№ 81.** Rok 1854.

NOWINY

Wychodzą we *Wtorek, Czwartek i Sobotę*. We Lwowie prenumerata roczna **6** Złr. — półroczna **3** Złr. — kwartalna **1** Złr. **30** kr. — miesięczna **30** kr. m. k. W kraju z przesyłką pocztową rocznie **8** Złr.— półrocznie **4** Złr.—kwartalnie **2** Złr. m. k.

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wiersza pismem petyt w przedziałce za jednorazowe umieszczenie po **3** kr., za następ. po **1 ½** kr. i za dopłatą **10** kr. stępl. za każdorazowe umieszczenie. Bióro expedycyi w księgarni *H. W. Kallenbacha*.

DZIWO-ŻONA.

Powieść spółczesna

przez

Zygmunta Kaczkowskiego.

II.

(Ciąg dalszy).

Pan Edmund jest to wprawdzie młodzieniec taki, który wedle jego dotychczasowego mniemania w niczem z nim nie kwadruje. Dosyć bowiem powiedzieć, że jest synem bardzo bogatych rodziców, potomkiem znakomitego domu i ma nieskończoną ilość najdziwniejszych dla niego przesądów. Ale przypadek go z nim powiązał i tak to już jakoś zostało.

— Byliśmy razem — kończył swoje opowiadania rozbudzony już całkiem a nawet trochę rozpłomieniony Kamil; — byliśmy razem w mniejszych szkołach w Stanisławowie. Ja z nim korrepetowałem łacinę i z nim uczyłem się francuskiego języka, czytywaliśmy razem xiążki i razem odbywali przechadzki a nakoniec obroniłem go od napaści lampartów, i to nas jakoś powiązało ze sobą. Kłócimy się wprawdzie zawsze ze sobą, sprzeczamy się prawie o wszystko, on się może nawet czasem gniewa na mnie na prawdę, ale pomimo to lubimy się wzajem i zawsze powracamy do siebie. Czujemy to obadwa, że stoimy na punktach zupełnie sobie przeciwnych, zasady nasze prą nas ustawicznie do walki ze sobą i może kiedyś staniemy sobie twarz w twarz i oko w oko. Ale przy tem wszystkiem przecież jest coś, co nas potajemnie wiąże ze sobą, coś, co po najzawziętszych utarczkach dłonie nasze pociąga ku sobie i do serc naszych przemawia dźwięcznym głosem harmonii i zgody. Czy ten bój nasz zawzięty wiekuiście trwać będzie? czy jego końca głównym warunkiem jest to, ażeby jeden z nas zginął z ręki drugiego? czy pan bóg kiedyś jego rozum oświeci a sam czas z jego serca część schorowaną wykroi? — jest to nierozwiązaną dla mnie zagadką. Ale ja z mojej strony wcale jej rozwiązania nie pragnę. Czuję to w głębi mojego serca, ile bym był szczęśliwym, gdyby ta dawna nasza znajomość zamieniła się w przyjaźń ścisłą, niezamąconą i wiekuistą. Jeden to jest człowiek na całym świecie, z którym by dusza moja mogła się powiązać i zespolić na zawsze! — Ale walka mi także nie jest przeciwna, bo walka to ruch, a ruch jest głównym warunkiem bytu i postępu.

Tak skończywszy swoje opowiadania młody filozof, pokłonił się gospodarstwu i wyszedł do przeznaczonego dla siebie pokoiku.

Po jego wyjściu państwo Sieniawscy siedzieli jeszcze chwilkę w milczeniu przy stole. Nie można powiedzieć, ażeby te prozaiczne szczegóły pacholęcego życia, chociaż przeplatane gęsto to gorącemi deklamacyami, to rzewnemi wspomnieniami chwil przyjemnych lub smutnych, zrobiły na nich głębokie wrażenie. Bo pani Sieniawska większej połowy wszystkich tych rzeczy nie rozumiała, a sam archiwista więcej przy tem myślał o Sieniawskich i Łaskich, niżeli słuchał. Ale zawsze nie uszło to obojga gospodarstwa uwagi, że Kamil wcale jest nie podobnym do tych wszystkich studentów, którzy od lat trzydziestu zajmowali po kolei ich mały pokoik. Uznali też jednozgodnie, że ma bardzo piękne zasady i bardzo wiele na wiek swój rozumu, a pani Sieniawska nawet zauważała otwarcie, że młody Łaski tak mówi pięknie i gładko, jak wcale nie każdy xiądz na ambonie, i że dla tego będzie go koniecznie namawiać, ażeby się uczył na xiędza, bo w takim razie pewnie wszystkich kaznodziejów w kąt pozapędza.

Wszakże na młodziutkim umyśle Hani wieczór ten głębokie musiał uczynić wrażenie.— Przez cały czas bowiem, przez który przy głosie był Kamil, siedziała ona nieruchoma jak posąg i wpatrzona w twarz jego jak w tęczę. Po wyjściu jego dziwnie się jej jakoś zamąciło w głowie i drżała na całem ciele, jak gdyby lekkiej dostała gorączki. A kiedy po pacierzach wspólnie z matką zmówionych, po zaryglowaniu drzwi i świecy zgaszeniu, wszystko w całym domku ucichło, ona jeszcze się z pościeli podniosła, uklękła na swojem łóżeczku, złożyła rączki i do obrazu Trójcy świętej, wiszącego nad głowami jej łóżka, odmówiła drżącemi usty całą pieśń: „K t o s i ę w o p i e k ę p o d a p a n u s w e m u."

III.

Naprzeciwko dworku starego archiwisty, któren swoją powierzchownością nie zdołał wprawdzie dać świadectwo bogactwu, ale aż nadto jawne stawiał dowody pracowitości i zadowolonej ze siebie skromności swoich mieszkańców, po drugiej stronie ulicy tak szerokiej jak zwyczajny gościniec, ale ani wyżwirowanej, ani chodnikami zaopatrzonej, podnosił się taras znakomicie wysoki. Ten taras, zdaje się, że niegdyś musiał być porządnie podmurowanym, bo w jego ścianie stromej widać było mnóstwo od ręki obrabianych kamieni. Lecz dzisiaj podmurowanie to było już

całkowicie zniszczone, a podczas kiedy ściana tarasu prawie wszędzie tylko szczerą błyszczała ziemią, w niektórych miejscach widać było głębokie powybierane jamy. Cały jej spód był częścią podkopany a częścią podmyty, a nad nią zwieszały się zębate warstwy rodzajnej i różnemi zielskami obrosłej ziemi, które jak gdyby szmaty poszarpanego kobierca, wywieszając swoje spłowiałe troki na widok ulicy, zdawały się mieć najszczerszą lubo zupełnie próżną chęć zasłonienia braku dawnej, kamiennej ściany w tarasie. Na wierzchu tego tarasu widać było kilka drzew starych, po części pruchniejących, a po części już całkowicie spruchniałych, a za temi drzewami pokazywał się żółty dom murowany z wysokim dachem i z wielkiemi oknami. Za domem i koło niego widać było znowu takich samych drzew kilka. — Ale tak te drzewa jak i sam dom, z przyczyny owego zniszczonego podmurowania, na które najpierwej padało oko przychodnia, zdawały się nie stać jak inne domy na ziemi, tylko wisiały niby w powietrzu i sprawiały takie wrażenie, jakiego doznajemy w śnie, kiedy nam się wymarzone pokazują widziadła, czwałujące na mgłach nocnego zmroku i razem z nim znikające.

Wszakże z drugiej strony, a mianowicie od wschodu słońca, gdzie się ziemia naturalnym garbem podnosiła do góry, był wjazd przyzwoity do tego domu. Dawniejszemi czasy i wjazd ten i całe otoczenie domu musiało być zaopatrzone starannie i fundamentalnie. Tak przynajmniej świadczyły tego wszystkiego szczątki. Ale dzisiaj do koła domu widać było tylko ostateczne mchem i zielskami pozarastane głazy powalonego i z ziemią zrównanego muru a przy wjeździe stała jeszcze wprawdzie w całości z ciosowego kamienia wymurowana brama, ale czas tak nie litościwie poniszczył jej nietrwałe piaskowce i tak powygryzał cementa, że trzeba było mieć dużo odwagi, ażeby stanąć pod jej gotyckim łukiem, bo się zdawało, że lada podmuchem wiatru cały ten szkielet omszony runie i w proch się rozsypie. W tem mniemaniu jeszcze bardziej każdego utwierdzał głaz długi, ogromny, który był umieszczony we środku łuku, a na którym w wypukłorzeźbie wyryty był herb Radwan w połączeniu z Toporem, bo ten głaz jednym bokiem już się był całkiem wykrzywił a nawet chwiał się i skrzypiał na wietrze. Pomimo to wszakże pod tą bramą na wielkim czworograniastym głazie siadywał zawsze zgarbiony siwowłosy staruszek, któren miał długą ciemno-niebieską kiereję na sobie i pasem szerokim skórzanym był opasany po wierzchu, koszulę u szyi ściągał pąsową wstążeczką i ze staroświeckiego rożka zażywał tabakę. Tego staruszka znali wszyscy mieszkańcy Sieniawszczyzny, bo go, wyjąwszy zimę, przez wszystkie pory roku widzieli prawie po całych dniach siedzącego na swoim głazie. A chociaż o nim tak jak o całym tym domu nikt nic pewnego o powiedzieć nie umiał, wieść była taka: że ten staruszek jest dawny sługa dworski tych państwa, do których dom ten należał, że za lepszych czasów sługiwał za odźwiernego przy tejże samej bramie i że tak do niej się przyzwyczaił, że i dziś jeszcze, chociaż odźwiernego tam nie potrzeba, tylko zimno lub niepogoda mogą go od niej rozłączyć.

O kilkanaście kroków od bramy stało widzialne do połowy z ulicy domostwo. Na pierwszy rzut oka zdawało się ono już zupełną ruiną, bo chociaż główne mury nie były jeszcze ani spękane ani porysowane, jednak tynk poobijany i corocznemi burzami podziurawiony, do połowy porozwalane kominy, dach pozaginany i mchem obrośnięty, poobalane miejscami galerye i popruchniałe ramy u okien i odrzwi, nadawały mu pozór zupełnego zniszczenia. Architektura tego zabudowania nie dawała się odnieść do żadnego wieku ani żadnej szkoły. A lubo jej twórca musiał zapewne o niej nie mało bajać swojego czasu, był to jednak utwór li samej fantazyi, która tworząc i dawniej i teraz wiele rzeczy na ziemi polskiej, pobudowała na niej wszystkie pałace i zamki, wszystkie dwory na wsiach i pomieszkania szlacheckie po miastach.

To też podług takiej fantazyi był i ten dom postawiony. Była to bowiem niby z frontu regularna podłużno-czworograniasta budowa, która z trzech stron do koła miała nie przykrytą, marmurowemi płytami wyłożoną i żelazną galeryą obwiedzioną wystawę. — Z frontu widać było we środku trzy okna wąskie gotyckie, ale po rogach znajdywały się okna szerokie włoskie. Takąż samą mieszaninę okien widać było i z boków. Lecz za to z tyłu były przyczepione dwa graniaste zakamarki z czysto polskiemi oknami, a do jednego z tych zakamarków był znów przyczepiony zakamarek okrągły, który się nad dach domu podnosił i niegdyś może, kiedy miał dach baniasty nad sobą, bizantyńską wieżę udawał, lecz dzisiaj bez dachu, powyszczerbiany i chwastami zarosły, smutnie patrzał ku swojej siostrze gotyckiej, owej bramie szczerniałej, i zdawał się od niej wyczekiwać tylko umówionego znaku, ażeby razem z nią runąć w bujające koło nóg swoich osty i pokrzywy.

Na dziedzińcu i w całem otoczeniu tego domostwa dziwnie ponura panowała cisza. Przeszedłszy bramę, zdawało się wchodzić na jakiś cmentarz stary i zaniedbany, w jakieś opuszczone mieszkanie dawno już popruchniałych umarłych. Tak tam było pusto, tak głucho i tak tam wiele widać było starych omszonych głazów, leżących w dziwnem rozrzuceniu do koła, wpijających się w ziemię i postacią swoją przypominających nagrobki. Wszakże stanąwszy na wysokości samego domu, wcale inny otwierał się widok. Dom ten bowiem, jakkolwiek przygarbiony w swojej starości i wiszący na łasce podkopanego tarasu, tak jednak panował nad wszystkiem, co się rozścielało przed jego oczyma, że w jednem oka mgnieniu znikał z pamięci teraźniejszy stan jego, a on sam zdawał się królem, posa-

dzonym wszechmocną ręką nad głowami miasta, ażeby mu przewodniczył i rozkazywał. Dworek starego archiwisty, wzięty na oko z tego punktu, wydawał się nędzną chałupką, cała Sieniawszczyzna wyglądała jak wąskie i długie mrowisko, snujące się u stop jego podnóża, całe miasto ze wszystkiemi swojemi gmachami, placami i powalonym naówczas ratuszem, jak kupa obrudzonych kamieni i dachów szczerniałych, kąpiąca się w dymie i tonąca w moczarze. — Tylko gruzy xiążęcego zamku podnosiły się dumnie nad tem tajemniczem domostwem, wyciągając opiekuńczą prawicę nad jego omszone czoło i błogosławiąc jego dotychczasowemu istnieniu.

Temu wrażeniu jednak nie odpowiadało w zupełności wnętrze tego domostwa. Przez okna bowiem już widać było, że tam coś jeszcze się rusza i żyje, a z tyłu domu nawet, gdzie były owe zakamarki przybudowane, gdzie stajnie, wozownie i jakaś szpiżarnia, kręciła się służba dość liczna. A lubo te wszystkie postacie były to siwe, to łyse, to w inny sposób naznaczone piętnem podeszłego już wieku, toż jednak wszystko to się ruszało i gderało i było ciągle zajęte. Od wschodu, w samym domu, któren powszechnie nazywano pałacem, była najpierwej sień długa, wysoka i ciemna. Z niej pomiędzy dwoje bocznych prowadziły drzwi główne do przedpokoju, w którym stał ogromny kredens dębowy, aż pod strop sięgający, stało dwie szafy pomniejsze, stół jeden wielki i wisiało dwa olejne wytarte obrazy, lecz ani żywej duszy nie było. Z tego przedpokoju wchodziło się wprost do wielkiego salonu. Salon ten zajmował sobą cały środek pałacu, oświecony był trzema gotyckiemi oknami i był tak wielkim, że na pierwszy rzut oka wydawał się być daleko większym, niżeli dom cały. Widać że właściciele tej staroświeckiej siedziby więcej się na to sadzili, ażeby mieli gdzie przyjmować i godnie raczyć swych gości, niżeli dbali o swą własną wygodę.

Wypadek ten był w dawnej Polsce zwyczajem i zwyczajnemi być musiały natenczas takie izby gościnne, ale dzisiaj podobno już trudno-by gdzie zdybać takiego salonu. Pomimo bowiem jego niezwyczajnej wielkości wiał w nim duch jakiś dziwnie smutny i uroczysty, na poły kościelny a na poły grobowy. Okna jego były osłonione długiemi karmazynowemi firankami, co tworzyło jakąś atmosferę ciężką i niby duszącą, przez którą widać było gęstą masę samej staroświeczyzny. Kilka kanap mahoniowych, ciemnym axamitem obitych, kilkanaście fotelów podobnych z podnóżkami i bez podnóżków, marmurowe kolumny po kątach i pomiędzy oknami, na nich alabastrowe biusty i bronzowe zegary, dwie klatki mosiężne druciane, jedna z małpą a druga z papugą, ściany obciągnięte karmazynowemi makatami w złote floresy a na nich niezliczone mnóstwo olejnych obrazów, sufit niebieski, obrzucony złocistemi gwiazdami a na jego środku wiszący wielki pająk bronzowy, naśladujący słońce, — owóż wszystko, co najpierwej uderzało w oczy przychodnia. Na przeciw środkowego okna znajdował się komin olbrzymi, z czarnego wykuty marmuru, ozdobiony tym samym herbem podwójnym, jaki wisiał nad bramą i zwieńczony wyzłacaną koroną. Około tego komina stały dwie małe sofki i dwa głębokie fotele, a pomiędzy temi sprzętami stało cztery małe stoliczki, z których te, które stały bliżej komina, obwiedzione były bronzowemi galeryjkami i zdawały się być urządzone do kobiecej roboty, dwa drugie zaś zaopatrzone były małemi pulcikami i sługiwały widocznie do czytania. (D. c. n.)

WYJĄTEK Z DRAMATU „UKRAIŃKA.“

Akt II. Scena jedynasta.

(Wojewoda; wchodzą drzwiami od strony prawej Kasztelanic, Starosta, Podstoli, Stolnik, Szambelan i kilka innych osób.)

Wojewoda.

(witając gości.)

Starosta! Kasztelanic dawno nie widziany,
A witam, witam, wielce miłych gości,
A! i nasz Stolnik, Podstoli kochany,
Prawdziwie dla mnie zbyt wiele radości.

(powitawszy innych podaje rękę Podstolemu, ale Podstoli nie śmie jej przyjąć lecz się pochyla i obejmując jedną ręką, lekko ściska kolana Wojewody.)

Podstoli.

Jaśnie wielmożny panie Wojewoda,
Zbytnie łaskawy dla swojego sługi,
Ale to szkoda, prawdziwie że szkoda,
Że być niemogę młodym po raz drugi,
Bo bym krew moją za ciebie wytoczył,
Ale tak, stary.....

Wojewoda.

Stary ale jary!
Jeszczebyś pewnie młodego przeskoczył,
A z resztą głowa tak dobra do rady,
Co może godzić między bracią zwady,
Toć dzisiaj lepsza w naszym smutnym stanie,
Jak silna ręka.
(do Stolnika.)
Nie prawdaż Stolniku?

Stolnik.

Oj prawda, prawda miłościwy panie.
Bo to dziś w kraju i wrzasku i krzyku,
Jako tam niegdyś przy babelskiej wieży,
Że człek nic nie wie, i nic nie rozumie!
Którzy są szczerzy, a którzy nie szczerzy
Dla kraju, nawet rozróżnić nie umie.

Podstoli.

(do Stolnika.)

Co waszmość mówi o babelskiej wieży?
Unum corpus unius animus regi przynależy.
Oto jest województwa dusza panująca:
Gdzie prowadzi tam idźmy, jak za blaskiem słońca!

Wojewoda.

Za wiele łaski panowie, za wiele,
Lecz odkąd służę braciom mogę mówić śmiele,
Że *sacrosancte* pełnie powinności,

Całego siebie *immolo* z ochotą,
Dla miłościwych braci szczęśliwości.

Podstoli.

(do starosty.)

Nasz Wojewoda to ma duszę złotą!

(Szambelan mówi tymczasem to ze Starostą to z innemi po cichu a Wojewoda zwraca się do Kasztelanica.)

Wojewoda.

My tu radzimy *de publico bono*,
A mój kochany Kasztelanic młody,
Czeka zapewne na weselsze gody,
I patrzy tam gdzie siedzi dziewic grono.

Kasztelanic.

Ależ nie, panie.

Wojewoda.

Nie trza się wypierać.
Nie ma w tem złego mój łaskawy panie.
Jam także wolał tańczyć niż się spierać,
O jakieś prawa, polityczne zdanie,
To potem. Teraz idź patrz w cudne oczy,
Czarne, błękitne, patrz na krasne lica,
Jedne różowe w blask zorzy uroczy,
A drugie blade jak światło księżyca.
Podziwiaj cudne te szyje łabędzie,
Wzdychaj, i ściskaj drobne rączki białe;
A potem kiedy tego trzeba będzie,
To serce twoje mężne i wspaniałe,
Na dobrej tylko pewnie stronie stanie.

Kasztelanic.

Za twoim śladem pójdę wszędzie panie.

(Kłania się i wchodzi do salonu a z nim kilku z młodzieży.)

Wojewoda.

(prowadząc Starostę na przód sceny.)

Wiesz Starosto? że właśnie Jaśnie Oświecony
Książę Repnin pytał się o ciebie przedwczora.

Starosta.

(trwożnie.)

Książę o mnie?

Wojewoda.

Wiesz że obrażony!
Za nocleg Puławskiego, wiesz? właśnie jest pora,
Błędy naprawić, bo on jak w gniew wpadnie...

Starosta.

Gdyby przebłagać...

Wojewoda.

Ja to zrobię snadnie,
Mam wpływ dość znaczny, przynajmniej sprobuję.

Starosta.

Ah! Panie wdzięczność...

Wojewoda.

Ja na nią rachuję.

(bierze go pod rękę i idzie głębiej mówiąc z nim po cichu.)

Podstoli.

(do Szambelana.)

Wojewoda to lumen. Jaką obligacyą
Gdybym mógł mu uczynić mą lichą personą!

Szambelan.

Panie Podstoli, swoją weneracyją
Możesz mu dowieść. Zdaje mi się pono,
Waszmość masz wielką wziętość między swemi?...

Podstoli.

Juścić mnie znają, i tam w naszej ziemi,
Słowa me nie wiatr!

Szambelan.

(cicho.)

Trza dla Wojewody
Pozyskać szlachtę.

Podstoli.

Panu Bogu chwała!
Że *venit hora mea* gdzie złożę dowody
Usłużności, i *Verbum Nobile*, że cała
Szlachta mi znana odda garło swoje,
Za wojewodę.

Wojewoda.

(wracając na przód sceny.)

Ależ ja tu stoję.
Cieszę się szczerze przybyciem mych gości,
A czas tak prędko upływa w radości.
Więc proszę, proszę wielce miłościwych
Panow i braci, tam do drugiej sali.
Młodzi do tańców i zabaw godziwych,
A my zaś starzy będziem rozmawiali
O tem co w sercu najgłębiej nam leży,
O Respublicae, a jak się należy,
Po dawnym ojców przesławnych zwyczaju,
Spełnimy puchar starego węgrzyna,
Co to nam lepsze czasy przypomina,
Najprzód za zdrowie najdroższego kraju,
A potem dawne «*kochajmy się*» bratnie.

(Wychodzi z gośćmi na prawą stronę.)

Scena czternasta.

(Z drzwi od komnat Wojewody wchodzi Starosta, Stolnik, Podstoli i wielu z szlachty, już dobrze podchmielonej z kielichami w ręku.)

Podstoli.

Gdzież nasz gospodarz? Hej, mości panowie,
Trza go poszukać, jego pijem zdrowie!

Stolnik.

Gdzieś się nam schował, a czyteż to można
Tak nam uciekać?!

Podstoli.

Jak by to bezbożna,
Horda Tatarów naszła niespodzianie,
Albo Konfederaci, odpuść Panie!

(Kilku z szlachty wchodzą z salonu, Wojewoda wśród nich.)

Jeden z Szlachty.

Jest, jest gospodarz! oto prowadzimy.

Podstoli.

Jaśnie Wielmożny, wielce miłościwy!
Niechże injuryi takiej nieznosimy;
Czyż byś ty miłość braterską miał za nic?
A toż ta miłość nasza jest bez granic,
I na dokument że afekta stare,
Nasze niezmienne...

Wszyscy.

(wznosząc kielichy.)

Wiwat! renovare.
Zdrowie spełnione.

Wojewoda.

Wielce miłościwi
Panowie bracia, jak szczerze życzliwi
Jesteście, widzę; lecz niezasługuję...

Podstoli.

In vino veritas, co mówię to czuję.
Nasz Wojewoda to jest czyste złoto,

Perła, diament, to poczciwe łono,
Więc, jego chęci *pro publico bono,*
Prędkie spełnienie *cum auguro voto,*
Ex coro et animo, winszuję i piję.

Wszyscy.

I my, my wszyscy, niech żyje, niech żyje!

Wojewoda.

Premium, odbieram to *ultra merita!*
Ale powróćmy, bo próżne puchary.

Stolnik.

(do Podstolego.)

Znów wam ucieknie.

Podstoli.

O niedamy wiary,
Weźmiem na ręce, zaniesiem i kwita!

Wszyscy.

Tak tak, na ręce! W górę Wojewoda!
Niech żyje wolność złota i swoboda!
Niech żyje veto! nasze polskie veto!

(Wychodzą tłumnie, z okrzykami głośnemi i niosąc Wojewodę na rękach drzwiami na lewo, podczas gdy we drzwiach salonu pokazuje się Szambelan, śmiejący się szyderczo.)

J. K. S.

Ludność polska na Ukrainie.

(Z listu T. Padalicy.)

...Jeśli zdarzało się nam kiedy nawiedzić prowincyę oddaloną od nas, zwykle pytano nas: Cóż tam u was słychać na Ukrainie? Jakże żyjecie? czy wesoło, czy smutno? macież tam towarzystwa, zabawy? i t. d. Do podobnych zapytań wszak równe macie powody, ale jakże wam na nie odpowiedzieć? Strony nasze pod względem towarzyskiego życia różnią się i bardzo nawet od waszych. Okolice tutejsze w większej części są własnością magnatów, posiadających ogromne dobra. Więc zasiedla je klassa ludzi służbowych, składających wyłącznie swoje towarzystwo, ludzi oddanych zatrudnieniom swej professyi, poczciwych, cichych, szczerych, jednych zamieszkałych od dawna, drugich zagnanych losem ze wszystkich kończyn kraju, a w wielu miejscach już zmieszanych z cudzoziemcami, których wypisano do fabryk, machin, budowli i agronomii. Pisarz jeden mający pretensye do wyrokowania z góry o wszystkiem, zbyt powierzchownie zapatrzywszy się na tę klasę, niesłusznem potępił ją zdaniem. Dałoby się tu wiele powiedzieć o niej, jak równie o przyczynach moralnego rozprzężenia, dającego się postrzegać gdzie indziej. Przed laty, gdy jeszcze obowiązki podobnego rodzaju były dla wielu familij professyą i spadały z ojca na syna; gdy prowincye tutejsze ledwie na kilkanaście dzieliły się części i zostawały w posiadaniu magnatów, potrzeby ściśle miejscowe wyrodziły u nas tę klasę. Natenczas jak wszystko co wyradza potrzeba, i owa klasa miała w niej rękojmię ustalonego bytu, zapewnienie kawałka chleba i kąta. Sługa nie oglądał się z bojaźnią na jutro, liczył coś na zyskaną reputacyę, na dawne zasługi, na prawość pana, a przekonany, że za gorliwe prace czeka go dożywotnia pensya i ordynarya i domek na starość, nie miał powodu zabespieczać przyszłość własną i dziatek mniej godziwym sposobem. Zepsucie, o jakiem mówią głośno dzisiaj, powstało juz w naszych czasach, ale z przyczyn na które obowiązkowa szlachta najmniejszego nie wywarła wpływu. Dotknięto ją biernie okolicznościami czasu, zmianą społeczeńskiego bytu, a całą jej winą jest niepojęcie owej zmiany i potrzeby odmiennego kierunku, jakąby należało dać własnym dążeniom. Jak skoro ogromne niegdyś włości magnatów na setne rozdrobiły się części, powstała u nas klasa obywateli, jakkolwiek światłych i pojmujących swe obowiązki, wszakże z samej natury rzeczy już niemogących zastosować tradycyjnie przechowanej gospodarczej formy. Nowy panek nie mógł być panem według tamtej skali, a więc nie mógł odpowiedzieć i wymaganiom jej wszechstronnym. Obowiązki służbowe, objęte przed tem ściśle do rzeczy zastósowaną formą, stały się odtąd zależnemi od tysiąca innych wpływów i przyczyn. Przedtem szlachcic starał się li dowiedzieć o „skarbie" a czy dobry? a ile płacą? Teraz musiał wypytywać się o panu, o jego charakterze, cnotach, kaprysach i tym podobnych rzeczach, bo od tego wszystkiego zależnym być musiał. Niepotrzebuję mówić, jak blisko graniczy z poniżeniem uległość takim wymaganiom, i że się znaleźli tacy, którzy jej nadużyli nierostropnie. A tymczasem konieczność zmuszała biednych czepiać się funkcyj, do których nawykła, a oświaty brakło, a o nowych drogach życia nie wiedziało się zupełnie. A tu żona i dzieci, a tam długi brukowe i życie, słowem, brak grosza i chleba, biedy te lub owe, zniewalały często i upokarzające przyjąć warunki i czynić im zadość. Owóż wyjaśnione początki zepsucia... Co Syrokomla powiedział o zaściankowej szlachcie, możnaby tę radę w zupełności zastósować i do tej, która pomiędzy nami stera młodość i zdrowie, tułając się po obowiązkach:

Wy będziecie na świecie potrzebni na nowo,
Nie na sejmik z pałaszem, lecz z piórem, lecz z głową.
Świat — to szerokie pole, pełno na nim chleba,
Tylko uczyć się trzeba i pracować trzeba,
Wydobywać hart duszy co śpi w poniewierce,
A herbem szlachetności wypiętnować serce.

Drugą warstwą naszego społeczeństwa są obywatele pomniejsi, posiadający od jednej do kilku wiosek, i jeszcze mniejsi, siedzący na jednej wiosce w kilku. Warstwa to nader rozmaita i co do rodzajowości i co do ukształcenia. Wiadomo, iż Ukraina była ziemią obiecaną dla wielu. Pod wpływem pokoju, na wiarę jej bogactw, na odgłos jej rodzajności, ciągnęli tu zewsząd ludzie przedsiębierczy, pracowici, przemysłowi, kapitaliści i biedni; imiona zaszczytnie znane w kraju, mniej znane, i nie znane wcale. W owe czasy, kto pracować umiał, łatwo w tym osiedlającym się kraju dorobił się grosza; wielu przyszło z gotowym i tu go zwiększyło przemysłem i pracą. Tak się osiedlały tutejsze strony przed kilkudziesięcią laty. Oczywista iż taką społe-

czność, różniącą się wyobrażeniami, stanem, pochodzeniem, nie mogły związać żadne trwałe ogniwa towarzyskiego życia, a więc i samo to życie nie rozwinęło się tutaj. Dziś dopiero grupuje się wszystko i zawiązuje powoli w węzeł towarzyski. Pokolenie nowe pojmuje się wzajem i zbliża; życie obywatelskie przybiera właściwsze formy, oświata i ukształcenie wywierają konieczny swój wpływ na tę społeczność, i nie jest się już u nas bez imion chlubnie znanych z cnót obywatelskich, przemysłu, nauki lub talentu. Nie umiemy wprawdzie jeszcze złożyć z tych pięknych części całości, nadać jej społeczeńskiego wyrazu, gdyż to jest bardziej dziełem czasu, i dla tego to życie nasze towarzyskie jest nazbyt rozstrzelone, drobi się na oddzielne kółka i ogranicza niemi. Taki stan rzeczy dla osób inaczej pojmujących towarzyskość, wydaje się nienaturalnym i przykrym; to też Litwini i Warszawiacy gderzą na nas ciągle za to i powiadają, że nie umiemy żyć jak trzeba. Wszakże i to com powiedział o braku towarzyskiego życia, nie da się już dziś zastósować do okolicy całej.

Owoż nie można się dziwić, jeśli kto z nas, rzucony losem na tę obszerną i piękną ziemię, znajdzie się w społeczeństwie którego nie rozumie i ogranicza się szczupłem kołem znajomych, żyje oddany gospodarstwu, a czas wolny poświęca muzyce lub książce. Ani to źle może uprzedzać o ogóle ani o jednostkach. Co traci się na życiu społecznem, zyskuje się w domowem, i żałować przychodzi tych tylko, którzy z innemi nawyknieniami przybywają do nas i nudzą się czując się samotni. Ale kto z wiarą i uczuciem zamieszkał te strony, kto pojął wdzięk tej krainy i na jej polach uczył się z Malczewskiego i Bohdana, o! wierzcie mi, on tu znalazł nieprzebrane skarby poezyi i wrażeń, których już nie odda za lada zabawę salonową i które mu wypełnią całe życie!

Rozpowiadać wam o tych wrażeniach, skreślać te obrazy cichego szczęścia — nie zda się na nic, i wyjdzie na jedno, jak gdyby chcieć opisać jaki np. nowy kolor, jakąś harmonią niesłyszaną dotąd, dla których nie ma zastósowania. Zaleski opowiedział w jednej swej poezyi skąd powstała w jego duchu «pieśń żywa», wyznał co ją rozbudziło w piersi młodzieńczej i ślicznie wyraził, iż wszystkie owe drobne pamiątki i wrażenia: ów torban, Dniepr, Iwanhora, chata gdzieś w gaju starego znachora, pieśni ludu i historya jego wojennych czynów, mąciły się społem

W pieśń jedną żywą! i pieśń tę połknąłem!

Owoż co jest tajemniczym nasiennikiem i naszych wszelkich uczuć!

Ale jest to już wyłącznym warunkiem każdej podobnej krainy, gdzie nie teraźniejszość, lecz pamiątki poetycznej przeszłości, melodye narodowe i obrazy przyrody główne zajmują miejsce, że się ją lepiej pojmuje z utworów poetycznych, z kilku pieśni, kilku pejzaży, jak z opisu jej stanu.

(G. W.)

Towarzystwo gospodarskie.

W wieku dziewiętnastym duch stowarzyszeń niezmiernie się rozwinął u wszystkich narodów; stał się niejako piętnem wieku i skupionem ogniskiem życia narodowego.

Odkąd ludzie uczuli potrzebę skupienia sił, — zestrzelenia myśli i sił w jedno ognisko i spotęgowania wspólnej pracy ku wspólnym celom i potrzebom, odtąd indywidualności skarłowaciały, a stowarzyszenia nabrały życia i znaczenia. — Wielka indywidualność Napoleona I. przytłumiła na pewien czas stowarzyszenia we Francyi; ale czemże jest rezultat wielkich jego dzieł w porównaniu z rezultatem, jaki osiągnęły stowarzyszenia w Anglii? Wszystkie wielkie dzieła Napoleońskie maleją i nikną w porównaniu z skutkami i wielkiemi pracami stowarzyszeń angielskich; to też wypadek daleko pomyślniejszy jest na stronie stowarzyszeń, to jest, w znaczeniu przemysłowem i handlowem. Napoleon chciał przygnębić przemysł Anglii, handel jej i wpływ jej na resztę świata, ale jakkolwiek była to olbrzymia indywidualność, uzbrojona w olbrzymie środki, jednakże walka była nierówna, bo duch stowarzyszeń jest wyższy nad wysilenia pojedyńczego człowieka; bo duch stowarzyszeń jest tym pękiem strzał, którego złamać niemożna; a stać się może tym smokiem, którego głowa ścięta stokrotnie się odradza. Po upadku Napoleona przeszedł duch stowarzyszeń do Francyi i tam się rozwinął; dziś Francya pokryta jest jak siecią stowarzyszeniami w materyalnych i moralnych celach zawiązanemi. Mowa tu głównie o stowarzyszeniach dla celów przemysłowych zawiązanych, a w szczególności w zawodzie rolnictwa. Gdy Napoleon przez system kontynentalny zamknął porta europejskie dla wyrobów angielskich, wtenczas Anglicy rzucili się z właściwą sobie energią do rolnictwa, założyli wielkie stowarzyszenia rolnicze, które dały początek i życie wielkim ulepszeniom w rolnictwie. Nie zdołalibyśmy wyliczyć wszystkich błogich skutków z stowarzyszeń wynikających. Dzisiaj cała Europa, Włochy, Niemcy, Skandynawskie narody, Ameryka, największe dzieła, najtrudniejsze przedsiewzięcia dokonywają za pomocą stowarzyszeń. — Zastanówmy się, gdzieśmy pozostali w tym ogromnym ruchu postępu i oświaty? — Jesteśmy nadzwyczaj skorzy i pochopni do chwycenia się każdej nowości, do postępowania z duchem czasu i z modą; ale z drugiej strony jesteśmy patentowani leniwcy, niedołężni i w żadnem przedsięwzięciu niewytrwali. Z tych dwóch przeciwnych sobie przymiotów, czy wad, wynika także skutek sprzeczny sam sobie, to jest że się chwytamy i podejmujemy każdej korzystnej nowości; że się skwapliwie, gorąco, namiętnie zabieramy do dzieła, póki nas ta nowość bawi, i póki nie napotykamy na trudności, które wymagają pracy, nauki, wytrwałości. — Lecz skoro tylko trzeba, jak to mówią, przysieść fałdów, lub zapocić czoła; skoro na owoce naszej pracy niejaki czas czekać trzeba, już tam

ogorzeją piórka i wkrada się taki niesmak i opieszałość, że już w połowie początku przedsięwzięcie upada, a jeżeli się wlecze, dla utrzymania jakiegoś pozoru, dla nazwiska, lub punktu honoru, to się wlecze, żal się Boże! na pośmiewisko ludzi i na obrazę nieba. — Powiadają, że przemysł, handel, rzemiosła, rękodzielnie, nieprzypadają do naszego usposobienia, do naszego charakteru, że dla tego wszelkie przedsięwzięcia, z tymi działami styczność mające, nie mogą u nas się zakorzenić i zakwitnąć; bo powiedział jeden z najcelniejszych naszych pisarzy, przedostatniego dziesięcio-lecia, że kraj nasz żyje tylko po za miastem, na wsi; Francya i inne narody cywilizowane żyją w kramie, warstacie, na rynku. Chociaż zdanie to jest zupełnie prawdziwe, to bynajmniej nie jest tłumaczeniem przyczyny, dla której stowarzyszenia u nas się nieudają. Jesteśmy narodem wyłącznie rolniczym, przed wszystkiem rolnictwo u nas kwitnąć powinno. Ażeby rolnictwo kwitnęło, powinny i towarzystwa rolnicze wszędzie nie tylko istnieć, ale rozrastać się potężnie, być tem ogniskiem jedynego przemysłu narodowego; być tym składem wszystkich sił żywotnych w narodzie się rozwijających; tam się powinno gromadzić i na wspólny użytek obracać drogo okupione doświadczenie, mozolna nauka i badanie; tam praca ciągła, tam wszystkie fundusze, do dyspozycyi nam pozostałe, powinny się zlewać, ażeby wielkich dzieł dokonać w rolnictwie, ażeby przedsięwzięcia finansowe, materyalne z rolnictwem styczność mające, lub rolnictwo posiłkujące, w krótkim czasie z pożytkiem dla ogółu doprowadzić do skutku. (C. d. n.)

Rozmaitość.

* (Widząc iż w waszem piśmie otwieracie kolumny nie tylko belestrystycznym i literackim artykułom, ale i z dziedziny naszego biednego wiejskiego gospodarstwa wiadomości łaskawie umieszczacie, a gdy tygodnik nasz rolniczo-przemysłowy krakowski odmówił mi umieszczenia odpowiedzi na pewien artykuł, ośmielam się prosić was abyście nie odmówili mi umieszczenia niniejszej odpowiedzi w waszym dzienniku tak jak ją w tygodniku rolniczo-przemysłowym krakowskim mieć chciałem.)

Od dawna już zbierałem się napisać co do tygodnika krakowskiego. Ale najprzód pismienny nie jestem, powtóre nikt mnie do tego nie wezwał; z czem według przyjętego zwyczaju nie omieszkałbym się był publicznie pochwalić. Nareszcie! nie wiele sam umiejąc *ut docent* długi i pustki w kieszeni, nie śmiałem nauczać drugich, aby którен z wierzycieli (a ci panowie bywają czasem niegrzeczni), nie zastosował do mnie gminnego przysłowia: *Uczył Paweł Marcina* etc. Widząc jednak że innym to jakoś uchodzi, biorę i ja za pióro. Pominąwszy już mniejszych Pawełków, autor: *moich kilkunastoletnich doświadczeń* w Nrze 17. tygodnika spisanych, jako najstarszy niezaprzeczenie pod tym względem, zasługuje na imię Pawła pierwszego.

Kiedy Cyganowi urodzi się dziecko, najpierwej zlewa on go zimną wodą aby wzmocniało. Tak postąpił sobie pan Z. z Dzikowa z nowo-narodzonym tygodnikiem krakowskim, i z nowo-narodzonem naszem postępowem gospodarstwem. Zaraz po urodzeniu chlusnął on na nas zimną jak lód ironią, wyłajał, wydrwił i niby to dowcipnie skrytykował. Gdybym znał Dzików i jego gospodarstwo, które według powszechnego zdania bliższych sąsiadów od czasu nieodżałowanego skonu właściciela wcale do wzorowych nie należy, zapewne z łatwością przyszłoby mi dowieść przykładami, iż łatwiej pisać jak czynić.

Gdybym znał osobiście pana Z. może dopiero od niego ustnie dowiedziećbym się zdołał, co właściwie chciał on dowieść pomienionym artykułem, z pisma bowiem jakoś trudno się o tem dowiedzieć. Według tegoż niema potrzeby łamać sobie głowy nad racyonalną chodowlą bydła, a jest znów niby, boć sam autor podzielił krowy na dwie obory, wybierał lepsze i gorsze, sprowadzał buhaje nie zagraniczne ale tyrolskie, więc nie kijem ale pałką, i różne tym podobne wyprawiał hece. Niema pod słowem, mówi on rassy różniącej się mlecznością, a znów niby jest, bo była różnica nietylko co do ilości ale co do jakości, gdy krowy tyrolskie wprawdzie dość mleczne dawały mleko rzadkie. Niema potrzeby karmić cielęta z małeńkiego dobrze, a jednak lepiej karmione były piękniejsze i większe, musiały zatem mieć więcej mięsa i grubszą kość, co u bydła nie jest przecież rzeczą obojętną. Słowem tyle jest sprzeczności w wszystkich tych twierdzeniach *na kilkunasto-letniem doświadczeniu* opartych, że nawet trudno odpowiedzieć na nie. Zdrowy sens wyślizguje się tu jak węgórz z pod najostrzejszych szponów krytyki.

Dopóki mowa o bydle, pół biedy jeszcze. Niechaj by ono sobie w Dzikowie żyło i manną bożą. Niema mleka i śmietanki, to łatwo kupić tych rzeczy u najbliższych sąsiadów. Nawozu także po folwarkach nie zabraknie, gdyż cudze bydło narobi go tam podostatkiem. Wszak bywają wypadki iż ekonomowie po większych skarbach trzymają po sto koni, po sto sztuk nierogacizny a i tak gospodarstwo tam wzorowe. W ustępie atoli gdzie pan Z. ni w pięć ni w dziewięć wziął się do młodszych postępowych gospodarzy i chce im łatki poprzypinać, uderzył on w stół, niechajże na nim odezwą się nożyce.

Jeżeli w poprzednich twierdzeniach radbym był doczytać się sensu, tu już jako strona interesowana, chciałbym na prawdę wiedzieć czego chce od nas pan Z. z Dzikowa. Czy wadzi mu to, że zmuszeni okolicznościami, smutnem doświadczeniem nauczeni, osobiście bierzemy się do gospodarstwa, nie spuszczając się na oficyalistów, jak to ojcowie nasi robili, a w skutek czego tamci dobra kupują które my sprzedawać musimy. Czy mniema on, że jeszcze za mało sami oddajemy się pracy? Czy narzędzia gospodarskie nowszego wynalazku, potępia on jako bezwzględnie nieużyteczne? Czy tylko nazwa skaryfikatorów, extyrpatorów i t. d. nie polska, jako gorącemu patryocie jest tak przeciwna? wszak temu możnaby zaradzić, bo w polskim języku nie brak słów na to; możnaby na przykład: drapacz, tępiciel, wydzieracz i t. p. zastósować do narzędzi wyniszczających chwasty. Czy wszystkie te rzeczy na prawdę mieni pan Z. z Dzikowa być spekulacyą fabrykantów, czy też to dopiero my tak je nazywać będziemy po nieumiejętnem onychże użyciu? Ktoby mi odpowiedział na te wszystkie pytania i sens moralny, który z całych kilkunastoletnich doświadczeń pana Z. z Dzikowa wyciągnął, temu ofiaruję jako premium, jeżeli już nie konia z rzędem, to przynajmniej jakie ze dwie klacze stadne. Radbym nakoniec dowiedzieć się gdzie to są owe złe skutki poprawnego gospodarstwa, o których autor tak dowcipnie chce się rozwodzić? Prawdę mówiąc, tak nie dawno wzięliśmy się do tego, że jeszcze ani złego, ani dobrego wiele spodziewać się nie możemy.

Oklepane owe przycinki o sukniach paryskich, mylnych rachubach, niedoborach w spodziewanych zyskach i t. d. tak są do naszej przynajmniej zachodniej Galicyi nie stósowne, że tylko zła chęć i żółć poruszona może je podawać ku zgorszeniu ziomków i nie ziomków naszych. Wyglądają one jak przepowiednie kalendarza stuletniego z lat upłynionych. O nie ta to, nie ta jest przyczyna, że u nas mało ludzi chętnych i zdolnych. Nie przeczę iż w braku grun-

łownych wiadomości (bo gdzież ich dotąd nabrać mogliśmy) nie raz błądzimy. Dobra chęć atoli, usilność w poprawieniu złego, a nadewszystko niezła kontrola oficyalistów naszych da nam z czasem i te błędy wyrównać.

Paweł drugi, nauczyciel Pawła pierwszego.

* **Czerniowce**, dnia 2go lipca. Miasto Czerniowce poniosło wczoraj znaczną stratę. Spłonęła bowiem przez pożar kamienica pana Beka, w której był urządzony stały teatr i sala zabaw publicznych. Ta strata jest tem boleśniejszą, iż pan Bek ten gmach z wyczerpnięciem wszystkich swoich źródeł finansowych zaledwo co ukończył, i żadnych jeszcze nie miał z niego korzyści, i nie zostawia wiele nadziei, aby podołał podźwignąć smutne te ruiny i urządzić w nich na nowo scenę teatralną; zwłaszcza że całe wewnętrzne urządzenie zniszczone zostało. Ogień wybuchnął w przyległej karczmie i długo się wahał, nim owładnął gmach p. Beka. Lecz nie widząc żadnych przeszkód, pokusił się nareszcie do przybytku przyszłych naszych przyjemności i zabaw. W Czerniowcach jest ta strata dla publiczności znaczniejszą niż gdzie indziej. Niemamy tu bowiem żadnego gmachu, gdzieby się przyzwoita scena teatralna umieścić dała, zwłaszcza jeżeli jest prawdą, że sala pana Mikulego w której dotychczas urządzano scenę ku temu celowi, dalej nie ma być dozwoloną. Zajmuje nas ta sprawa dziś więcej jak kiedy indziej; gdyż właśnie teraz stara się pan Teofil Borkowski, dyrektor towarzystwa dramatycznego polskiego o pozwolenie przedstawienia w Czerniowcaeh widowisk dramatycznych, i ma nadzieję, iż to pozwolenie uzyska. Mając dobrze urządzoną scenę teatralną, cieszyliśmy się na przybycie towarzystwa pana Borkowskiego, spodziewając się odnowienia tych błogich chwil, któreśmy w roku 1851 na przedstawieniach tegoż towarzystwa w Czerniowcach przeżyli. Teraz obawiamy się, aby niedogodności, które przez ubytek sceny w gmachu p. Beka w drodze staną, nie odstraszyły pana Borkowskiego od owego przedsięwzięcia.

Przy tej sposobności nie od rzeczy będzie napomknąć cokolwiek o towarzystwie pana Chełchowskiego, które zeszłego roku w Czerniowcach przez kilka tygodni dawało przedstawienia polskie. Należy się przyznać, iż grą tego towarzystwa w ogólności byliśmy zadowolnieni. Przeto nieprzyjemne wrażenie sprawiło na nas uszczypliwe ocenienie tego towarzystwa umieszczone w Czasie krakowskim, z powodu dawanych przedstawień we Lwowie. Nie jesteśmy co do teatru zupełnemi nowicyuszami, nie uszłyby nas tak grube usterki jakie »Czas« niektórym, a to najznakomitszym członkom tego towarzystwa zarzuca, i nikomu na myśl nie przyszło wyrzec, aby pani Linkowska i panna Grochowska miały się dopiero uczyć jak potrzeba siedzieć na kanapie, co robić z łokciami i t. p.*) Pani Linkowska podobała się w rolach kochanek, w komedyach a najwięcej w rolach naiwnych dziewcząt, a nawet w niektórych dramatach odpowiadała wymaganiom swej roli, mianowicie w roli «Maryi» w dramacie «Dymitr i Marya« zasłużone otrzymała pochwały. Panna Grochowską role starych panien, wdówek, np. «Szenionowej» w «Żydach» bardzo dobrze odgrywała, a nawet w statecznych rolach w dramatach okazała się całkiem na swojem miejscu. Pan Linkowski z powodu niestósownego głosu do niższej tylko uzdolniony komedyi, okazał się w tym rodzaju sztuki celującym artystą; szkoda tylko że niema głosu do śpiewu, gdyż śpiew w podobnych burleskach w których pan Linkowski celuje, jest czesto jedyną ozdobą. Pan Kaliciński prócz słabego jeszcze głosu, okazał wszystkie przymioty prowadzące do prawdziwego artyzmu, i mamy nadzieję, że wkrótce znakomitym będzie artystą; w komedyi salonowej, w dramatach w rolach kochanków, bardzo mile był widziany. Spodziewamy się, że ci artyści i we Lwowie, skoro niekorzystne przeciw nim uprzedzenie zniknie, lepiej będą ocenieni, zwłaszcza że przypuścić trzeba, iż widząc przyjaźniejsze im audytoryum nabierą zaufania w swoje siły i przy wzbudzonych dobrych chęciach prędzej staną się zdolnemi odpowiedzieć żądaniom światłej publiczności teatralnej lwowskiej.

*) Zarzuty co do nieprzyzwoitego siedzenia tych pań na kanapie, uczynił korespondent Czasu bardzo słusznie i skutecznie. Zresztą inaczej sądzi stęskniony za teatrem przybyłą na czas krótszy wędrującą trupę aktorów, a inna jest skala do sądu o aktorach przy teatrze stałym, w mieście większem, gdzie większe są wymagania i gdzie porównanie z mistrzami w tym zawodzie ciągle się nasuwa. R.

Przyjechali od dnia 3. do 5. lipca do Lwowa:

PP. Kotkowski Apolinary, z Hawłowic. Makomaski Antoni, z Jasła. Blauth Roman, ze Stryja. Wolański Franciszek, z Lubienia.

PP. Perelli Wilhelm, z Arłamowskiej Woli. Wiszniewski Henryk, z Dobrzan. Krasiński Ludwik, hr. z Rohatyna. Poniński Wincenty z Kowalówki.

PP. Kadłubski Andrzej, z Tetewczyc. Zardecki Konstanty, ze Stryja.

Wyjechali od dnia 5. do 7. lipca ze Lwowa:

PP. Żurakowski Jan, do Zadorowa. Sozański Sylwester, do Karnalowic.

PP. Pietruski Teofil, do Sambora. Tyszkowski Jan, do Lubienia. Drohojowski Mateusz, do Łukawic.

P. Szymanowski Franciszek, do Spasowa.

Lwów 7. lipca. — Na dzisiejszym targu płacono korzec Pszenicy ozimej po 28 złr. 15 kr. do 31 złr. — kr. — Żyta po 24 złr. — kr. do 28 złr. 30 kr. Jęczmienia po 19 złr. 36 kr. do 20 złr. — kr. Owsa po 14 złr. 30 kr. do 18 złr. — kr. Grochu po — złr. — kr. do — złr. — kr. Hreczki po 20 złr. — kr. do 21 złr. 30 kr. — Ziemniaków po — złr. — kr. do — złr. — Sąg drzewa bukowego 25 złr. 15 kr. do — złr. Sosnowego po 18 złr. 30 kr. do — złr. — kr. w. w. Centnar siana 1 złr. 52 kr. do złr. 2 kr. 24. Centnar słomy 1 złr. 20 kr. do 1 złr. 45. kr. w. w. Garniec 30 stopniowej okowity — Złr. — kr. m. k.

Kurs lwowski.

Dzisiejszy.		Gotowką		towarem.	
Dukat holenderski	złr. 6	kr. 6	złr. 6	kr. 10.
Dukat cesarski	» 6	« 8	« 12	« 10.
Półimperyał zł. rosyjski	» 10	« 40	« 44	« 37.
Rubel srebrny rosyjski	» 2	« 2	« 3	« 5.
Talar pruski	» 1	« 56	« 1	« 58.
Polski kurant i pięciozłotówka	» 1	« 29	« 1	« 30.
Galicyjskie listy zastawne za 100 złr.	» 92	« 50	« 93	« —.

Kurs telegrafowany z Wiednia wczoraj 2 g. popołud.

Amszterdam.	$108\frac{1}{2}$.	Marsylia	—.
Augsburg za 100 złr.	130.	Medyolan za 300 lirów	$128\frac{1}{4}$.
Bukareszt	—.	Paryż za 300 franków	153.
Frankfurt za 120 złr. podług $24\frac{1}{2}$ stopy	$124\frac{1}{4}$.	Agio duk. ces.	—
Genua.	—.	Srebra agio	30.
Hamburg za 100 tal. banco.	96.	Pożyczka 5% $85\frac{5}{8}$. $4\frac{1}{2}$	$68\frac{3}{8}$.
Konstantynopol	$36\frac{1}{4}$.	Pożyczka lit. B.	—
Liwurno.	127.	Akcye banku	—.
Londyn za 1 funt szterl.	12. 41.	Kolej północna	1710.
		Obl. ind.	5%. —

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą: **H. W. Kallenbach.** Z drukarni **E. Winiarza.**